Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

23

— Prawda, prawda... Przecież ja jestem odpowiedzialną za nią. Michnik... Boże mój! Ależ ona miała najwyżej trzydzieści koron przy sobie! Czy chociaż wzięła legitymację?

— Biedna dziewczyna — szepnął Walczak.

— Wiesz, Kazimierzu, dziwię ci się — wybuchnął Ludwik — Powiedz: wariatka! narwana! Żałuj nie jej, ale swojej żony która na siebie ściągnęła tyle kłopotów! Taki skandal! I tego prawdziwie biednego Michnika, który, już nie wiem...

— Ludwiku, nie sądź tak porywczo! Widzisz, ten, jak go nazywasz, skandal, przykry dla nas, fatalny może dla samej Józi, dowodzi, że ta dziewczyna ma serce i kochać umie!

— Serce? Powiedz raczej: nerwy rozszalałe i kaprysy! Zresztą, co tu dużo gadać! Wszystkie baby, choć czasami zdarzało się, że najrzadniejsze, pełne są zawsze kaprysów i niespodzianek!...

— Nie dyskutujcie! Radźcie, co począć.

— Zatelegrafować do Malinowicza — zawołał Ludwik

— Nie, nie! — protestowała Anielka — On taki bezwzględny!..

— Ale ojciec, i ma prawo upomnieć się o córkę!

— Anielka ma rację — zdecydował Walczak — Malinowicz kazałby Józię sprowadzić przez policyę, a to byłoby najgorsze!... Wystarczy napisać do niego list. Kiedy Michnik wraca?

— Pojutrze.

— Będzie miał przyjemną niespodziankę... Zaiste, będzie mógł sobie zaśpiewać: „I byłbym za nią poszedł do piekła, gdyby nie była z innym uciekła“...

— Ludwisiu, jak możesz drwić?!

— Eh, bo mam dosyć babskich kaprysów!...

— Kaziu, ja pojadę sama do Zakopanego.

— Co? Ty, teraz, w twoim stanie zdrowia? Nie pozwolę na to! Możesz sobie zaszkodzić!

— Nie, Kaziuńku, nic mi nie będzie! Zdrowa jestem, pojadę wygodnie. Zamieszkam w pensyonacie u pani Starszewskiej. A jechać muszę! Ludwik ma rację Ja przyjęłam na siebie odpowiedzialność..

Walczak wahał się widocznie, nie wiedząc, jak zadecydować.

— Pomyśl, takie szalone, niedoświadczone dziecko! Nic nie wzięła ze sobą, ani bielizny, ani sukien, ani pieniędzy! Ten Zarnicki może ma rodzinę przy sobie. Tam się nieszczęście jakieś stać może!...

— Więc dobrze, pojedziemy razem.

— Nie! Ty zostać musisz i powiedzieć wszystko Michnikowi!.. To taki cios dla niego...

— Niech i tak będzie! Tylko pamiętaj, Anielko, ostrożnie, rozważnie.. Uważaj na siebie!...

— Będę uważała. Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Krakowa?

— Jutro w południe. Ale teraz siadaj, zjedz coś, napij się herbaty, a potem marsz spać, bo inaczej jechać nie pozwolę!...

ROZDZIAŁ XIII.

Józia wysiadła w Krakowie z pociągu, otulając się płaszczykiem i machinalnie poprawiając dosyć gęstą woalkę. Podczas drogi na stacyę przemokła silnie, ale zimna nie czuła, bo paliło ją wewnętrzne podniecenie. Oczy jej błyszczały nienaturalnie, na policzkach miała wypieki, a wargi spieczone, jakby z gorączki.

Zapytała posługacza kolejowego, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Zakopanego.

— O godzinie jedenastej w nocy — brzmiała odpowiedź.

— To trzeba czekać jeszcze? — gorączkowo pytała Józia.

Posługacz spojrzał zdziwiony na panienkę, która zdawała się nie wiedzieć, o której godzinie przyjechała.

— To się rozumie, że trzeba czekać... Jeszcze przeszło godzinę!...

Czekać!... Nieznośnie, zgrzytliwie zabrzmiało to słowo w uszach dziewczyny. Czekać!.. To znaczy przeszło godzinę jeszcze drżeć z niecierpliwości i obawy; czekać, to znaczy siedzieć bezczynnie, kiedy w niej każda żyłka rwie się, żeby jechać prędzej i prędzej do niego... do Konrada! Ale trudno, pociągu niema, więc czekać trzeba...

Z trudem zdołała się wydostać ze ścisku, bo stacya literalnie zapchana była podróżnymi, wśród których przeważali wojskowi.

Skierowała się ku poczekalni. We drzwiach zatrzymał ją żandarm.

— Proszę o legitymacyę!

— Co?.. podniosła na niego zdziwione oczy, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Legitymacyę proszę pani! — powtórzył żandarm już z pewnym naciskiem. Zaczynał trochę podejrzliwie patrzyć na tę młodą, zgrabną osóbkę która się dziwiła, że ją pyta o legitymacyę

Prawda! Wszak to Kraków... twierdza! Każdy musi mieć legitymacyę przy sobie!

Poczuła, że ją przebiegł zimny dreszcz. Co będzie, jeżeli nie wzięła legitymacyi Nie puszczą jej, nie puszczą do Konrada, a on czeka!...

O fatalnej sytuacyi swojej, o położeniu prawie bez wyjścia nie pomyślała Józia. Nic ją to teraz wszystko nie obchodziło. Ona miała tylko myśl jedną, pragnienie jedno...

Nie przyszła na nią jeszcze chwila otrzeźwienia. Trwała ciągle jeszcze w tym stanie niezwykłego uczuciowego i nerwowego podniecenia, w jakiem zdecydowała się uciec z Zalesinek.

Była pozornie przytomną, ale właściwie działała, mówiła, poruszała się, jak zahypnotyzowana, albo lunatyczka, cała energia jej woli w jednym skupiała się kierunku z jakimś maniackim uporem.

Szybko, drżącemi rękami otworzyła torebkę Pole jej natrafiły na chłodny i sztywny karton fotografii. Głębokie westchnienie ulgi Jest legitymacya!

Podała legitymację żandarmowi. Ten obejrzał uważnie fotografię i oddał ją bez słowa.

W poczekalni drugiej klasy, do której weszła Józia, piętrzyły się stosy pakunków, a ławki zajęte były do ostatniego miejsca. Mówiono osób tłoczyło się wokoło kasy i około drzwi, czekając na pociąg.

Józia doznała nagle dziwnego zawrotu głowy i musiała się przeć o ścianę bo nogi się pod nią ugięły... W żołądku poczuła słabą czczość. Młody, zdrowy organizm domagał się swoich praw Przypomniała sobie, że od rana nic nie jadła. Mocą jakiejś dziwnej reakcyi uczuła gardła, które poprzednio miała jak zasznurowane, rozluźniło się i odezwało się uczucie silnego głodu.

— Muszę coś zjeść, bo inaczej zupełnie siły stracę.

Wyszła z poczekalni z zamiarem, aby zjeść coś w restauracyi kolejowej. Przedtem jednak chciała kupić bilet, ale okienko kasy było jeszcze zamknięte.

Skierowała się więc do bufetu i usiadła przy pierwszym lepszym stole.

Wchodząc do sali, nie spojrzała wbrew zwyczajowi swemu w lustro, nie poprawiła włosów, które zmoczone deszczem kosmyki wymykały się z pod ciemno zielonej czapeczki nie zwróciła uwagi, że płaszczyk jej ciężki jest od wilgoci.

Ona, tak dbała o powierzchowność swoją i ubranie, nie spostrzegła nawet, że bucики ma oblepione błotem i spodnicę zszarganą dołem...

Nie zauważyła także, że kilku młodych wojskowych ciekawemi spojrzeniami śledzi samotną, a tak młodą i ładną podróżniczkę.

Podszedł do niej kelner.

— Czem mogę służyć?

— Proszę szklankę herbaty i kawałek chleba z masłem!

— A czy ma pani kartkę chlebową?

— Nie, nie mam.

Gdzież ona miała pamiętać, że istnieją jakieś przepisy o kartach chlebowych, zwłaszcza, że od zwyczaiła się od nich podczas pobytu w Zalesinkach.

— W takim razie chlebem nie mogę służyć.. Może pani zje co innego? Może jajka na miękko albo jajecznicę?

— Niech będzie jajecznica.

Za chwilę przed Józią stała szklanka pełna żółtawej wody i miseczka z jajecznicą.

Zaczęła jeść ale jajecznica była tak nieszmaczna, na jakimś starym tłuszczu smażona i zapaćwiona nieokreślonym bliżej preparatem, że Józia straciła apetyt nie tylko do jajecznicy, ale wogóle do jedzenia.

Chciwie tylko wielkiemi łykami wypiła herbatę, która wprawdzie bardzo mało zawierała esencyi herbacianej, ale była zato gorąca.

Skończyła pić, odsunęła szklankę, a potem oparła głowę o ścianę, na pół przymykając powieki.

Gorąca herbata i ciepło panujące w sali rozgrzały zmęczoną, zziębniętą dziewczynę i rozmarzyły.

W myśli jej, jakby w kalejdoskopie przesuwały się obrazy chwil przeżytych w Pradze z Konradem.

A zdradliwa pamięć usuwała w cień wszystkie zazdrości i dąsy, gniewy i przykrości, których było tak dużo a wyczarowywała wspomnienie szczęścia upojnego, bezmiernego.

I oto widzi Józia wielki park przecudny, białoróżowy w majowy poranek, pyszniący się szatą rozkwitłych drzew owocowych i siebie samą, młodziutką, szesnastoletnią dziewczynkę promieniejącą szczęściem i ufną miłością, zwieszoną u jego ramienia.

I jak żywego widzi przed sobą Konrada, jego twarz bladą i szczupłą trochę jakby smutną i chorowitą — i oczy ciemne, aksamitne, tajemnicze i urocze — i uśmiech dawnie chwytający za serce.

Słyszy dźwięczny głos męski, śpiewający ulubioną ich piosenkę:

„Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka...“

Albo szepcący tkliwie a namiętnie: „Józka, moja mała Józka“...

A teraz on nie wie, że ona jedzie do niego, że wkrótce już będzie przy nim, a tylko tęskni i „nie śmie marzyć“.

Chory, może ciężko chory.. Ale jak ją zobaczy, ucieszy się.. Będzie mu zaraz lepiej... Wyzdrowieje! Musi wyzdrowieć!

Jakaś bardzo głośno obok prowadzona rozmowa przywołała Józię do rzeczywistości, wyrwała ją z tego stanu półsnu, półmarzenia...

Nerwowym ruchem wyszarpnęła z za paska złoty zegarek, pamiątkę po matce i spojrzała.

— Pół do jedenastej!.. Za pół godziny odchodzi pociąg! Trzeba się spieszyć! Kupić bilet!...

— Płacić proszę! — zawołała.

Kiedy zapłaciła za herbatę i jajecznicę, przeliczyła swoje kapitały i aż przeraziła się że tak mało ma pieniędzy.

— To nic, pojadę trzecią klasą, byłem tylko zajechała.

Co będzie potem, nad tem nie zastanawiała się.

Zajęta sobą i własnemi myślami nie spostrzegła, że od dłuższego czasu śledzą każdy jej ruch czyjeś zielonkawe, rozbiegane oczy.

Nieco opodal siedział przy stole Stobiński, zwolna popijając piwo.

Gdy zobaczył Józię, drgnął, jakby przebiegł przez niego prąd elektryczny.

Józia o tej porze w restauracyi kolejowej sama! Co ona tu robi?!... Skąd i dokąd jedzie?... Czyżby przyjechała do ojca? Ależ w takim razie nie siedziałaby na stacyi, tylko poszłaby prosto do domu.

Dlaczego nie towarzyszy jej Walczakowa albo... narzeczony?

Zgrzytnął zębami na wspomnienie narzeczonego, ale jednocześnie zaświtała mu jakaś nieokreślona, radosna nadzieja.

Błyszczały oczy Stobińskiego i rozdęły się nozdrza, jakby wietrzył coś niezwykłego.

Ta samotna podróż przed tak blizkim terminem ślubu zakrawa na coś podejrzanego, na jakiś skandal.

Nie uszło jego uwagi silne zdenerwowanie Józi ani też przemoczony płaszczyk, obłocone bucики i sukienka...

Więc chyba szła piechotą na stacyę i to podczas deszczu!... Nie odesłano jej w powozie? Dlaczego? Co to znaczy?

Może pogniewała się z Walczakami? Może zerwała? Zatrzęsły mu się ręce, zadrgała wysunięta dolna szczęka.

Co za szczęśliwy przypadek, że dzisiaj właśnie wybrał się do Skawiny, aby odwiedzić dawnego znajomego.

Przez chwilę wahał się, czy nie przywitać się z Józią, ale, rozważywszy wszystko, co zaszło, poniechał tego zamiaru.

— Nie trzeba płoszyć ptaszka przedwcześnie. Lepiej patrzmy, dokąd poleci. Może go będzie można jeszcze schwytać.

Brzydki uśmiech skrzywił mu usta.

Józia schowała pieniądze, zamknęła torebkę i wyszła z restauracyi, kierując się ku kasie.

W pewnym oddaleniu, jak cień, postępował w ślad za nią Stobiński.

Widział, że Józia kupuje bilet trzeciej klasy i słyszał nazwę stacyi: Zakopane.

Mózg jego zaczął energicznie pracować i kombinować.

Malinowiczówna nie ma żadnych pakunków ze sobą, jedzie trzecią klasą, zatem brakuje jej pieniędzy.

Nikt nie wybiera się do Zakopanego dla przyjemności bez rzeczy i bez gotówki.

A jej ruchy nerwowe, niespokojne spojrzenia, zaniedbane ubranie, wszystko to wygląda jak ucieczka!

Ale od kogo i dlaczego ucieka?

— Hm, zobaczymy!... — szepnął sam do siebie Stobiński.

Postanowił także jechać do Zakopanego.

— Jak to dobrze, że jutro niedziela!

Jeżeli ta podróż tajemnicza to rzeczywiście jakiś wybryk szalony, jakiś skandal, to Józia będzie skompromitowana.